

Zawody psich zaprzęgów

Jeszcze tej zimy zacząłem ostro trenować. Alek zapisał nas do Yukon Klubu (to klub psów zaprzęgowych), w którym wszyscy przygotowywali się do zawodów psich zaprzęgów, odbywających się gdzieś daleko w górach. W każdą sobotę i niedzielę jechaliśmy do lasu i Alek biegł ze mną na nartach. Poza tym Darek uczył mnie biegania w zaprzęgu złożonym z sześciu psów, w końcu jednak stwierdził, że muszę jeszcze popracować nad dyscypliną. Nie wiem, co to jest dyscyplina, ale podejrzewam, że to nic jadalnego – więc chyba będzie mi trudno się na tym skupić.

Razem z Alkiem mieliśmy startować w klasie skandynawskiej (wygląda to tak, że przypięty do mnie linką Alek usiłuje mnie dogonić na nartach. Liczy się czas pokonania dystansu przez każdego zawodnika). Nazywa się to skikjöring i nie wiem dlaczego, kojarzy mi się z kiełbasą. Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie wystartuję!

Chyba z okazji zawodów – Henryk kupił nowy samochód combi, który był dużo większy od naszego opla – mogłem wygodnie rozłożyć się w bagażniku. Przyznam się jednak, że wołałem ten stary i mniejszy, bo w combi jeździę za okropną kratą i nie mogę polizać kierowcy, ani wystawić pyska przez okno, ani nawet zmienić nosem biegu.

Wreszcie – po wielu treningach i dziesiątkach kilometrów, które przebiegliśmy z Alkiem w lesie – nadszedł dzień wyjazdu.

– Alek, zabierz zawodnika do auta. Tylko nie podrapcie karoserii – zarządził Henryk.

– Jak kupiłeś combi dla psa, to teraz nie grymas – powiedziała Hanka.

– Kupiłem samochód rodzinny! – zagrmiał Henryk.

– Przedtem narzekałaś, że to Winter prowadzi, nie ja...

– Akurat! Też mi rodzinny, jak Winter ma więcej miejsca od nas! Dlaczego mam wozić bagaże na kolanach?

– Mamo, Winter to rodzina – wtrąciła cicho Julia.

– Najwłochatszy członek rodziny – powiedział Alek, tarmosząc mnie za ucho.

– Słyszysz? – zapytał Henryk.

– Przecież wiem. A... jego pchły to też rodzina?

Wszyscy parsknęli śmiechem, a z czego tu się śmiać? Ja i pchły, też coś! No dobra... raz czy dwa znalazłem jakąś pchełkę, ale szybko się ich pozbyłem.

– Winter nie ma pcheł! – krzyknęła oburzona Julia i zaczęła się nerwowo drapać.

– Za to ja dostanę pcheł, jak w końcu nie ruszymy. Przed nami setki kilometrów – powiedział Henryk.

Jechaliśmy bardzo długo, ale nic nie widziałem, bo spałem prawie przez całą drogę. W końcu dotarliśmy do celu. Wyskoczyłem z samochodu, i nic nie poznałem świata. Wszędzie były białe, ogromne pagórki, śniegu co niemiara i temperatura taka, jaką lubię.

– Mamo, spójrz na termometr... jest minus dwadzieścia stopni! – krzyknęła Julia.

– Prawdziwa zima. Jesteśmy wysoko w górach – wchrypiał Henryk i przetarł okulary.

– Jak tu cudownie – zachwyciła się Hanka.

– Chodź, Winter, zbadamy okolicę – powiedział Alek.

Czułem zapachy wielu psów i słyszałem ujadanie malamutów oraz wycie husky. Byłem bardzo tym wszystkim podniecony. Wyszliśmy z parkingu i zobaczyłem wielki plac wypełniony psami, saniami i ludźmi. Moje mięśnie się napięły i czułem, jak rośnie we mnie chęć pokazać wszystkim, kto jest najlepszym malamutem w tym towarzystwie.

– Spokojnie, Winterku... zawody dopiero jutro – przemawiał do mnie Alek, ale ja byłem gotów do rywalizacji zaraz, natychmiast! Alek zaciągnął mnie do hotelu przy parkingu i tak zakończył się ten dziwny, ekscytujący dzień przed zawodami.

W nocy śniła mi się moja mama i zabawy z bratem. Obudziłem się w dobrym nastroju i przez chwilę nie bardzo wiedziałem, gdzie jestem. Potem przypomniałem sobie wczorajszy wieczór i poczułem specyficzny zapach tego miejsca. Zapach moich rywali!

– Za dwie godziny start. Weź Wintera na rozgrzewkę – powiedział nerwowo Henryk.

Ruszyliśmy lekkim truchtem – wszędzie leżały duże metrowe zaspy śniegu. Mijałymi dziesiątki psów, ale Alek nie pozwolił mi się z żadnym przywitać, choć miałem ochotę na małą pogawędkę, szczególnie z jednym czarno-białym malamutem, który przechadzał się z ważką miną i lekceważąco gapił się na mnie. Byłem tak bardzo

zajęty tropieniem, oglądaniem, warczeniem i wypinaniem piersi do przodu, że całkiem zapomniałem o porządnym załatwieniu się przed zawodami.

Pomału nadchodził czas startu. Rywale z klasy skandynawskiej startowali pojedynczo, co trzy minuty. Wylosowaliśmy nasz numer startowy – dwanaście. Wszystkie psy przed startem szczekały, wyły i wyrywały się do biegu. Gdy wystartował pies z numerem dziesięć – już nie mogłem wytrzymać, natężałem mięśnie i rwałem się do przodu. Energia po prostu mnie rozsadzała. Usłyszałem krzyki Henryka i nagle zorientowałem się, że oprócz niego i Alka trzyma mnie jeszcze trzech panów, a ja ich pomału wlokę po śniegu do linii startu. W końcu, jak Alek się na mnie położył – trochę się uspokoiłem.

– Ludzie, zobaczcie! Jeszcze nie widziałem takiego kolosa.

– To mamut, nie małamut...



– Nie zbliżać się, uwaga!... Pomóżcie go utrzymać!

Słyszałem komentarze i okrzyki widzów. Nadchodziła decydująca chwila. Wystartował numer jedenaście. Stałem na starcie i wyrywałem się do biegu. Przede mną otwierał się widok na trasę, która zaczynała się stromym podbiegiem, otoczonym z dwóch stron szpalerem widzów. Słyszałem okrzyki dopingu i widziałem biegnące daleko w górze psy. Tym razem musiał mnie trzymać cały tabu ludzi, a ja wylem tak, jak jeszcze nigdy w życiu... Czułem, że muszę zaraz, natychmiast wystartować i prześcignąć wiatr! Zaczęło się odliczanie: cztery... trzy... dwa... jeden... start!!!

– Go!!! – krzyknął Alek i ruszyłem tak, jakby o tego miało zależeć życie moje i wszystkich, których kocham. Tłum jęknął z zachwytu, leciałem jak ponaddwukilowowy turbomalamut, przynajmniej aż do momentu, go



przypomniało mi się, że zapomniałem się załatwić. Przyhamowałem ostro, Alek wpadł na mnie i się przewrócił, a ja się wypiąłem i zrobiłem na środku trasy to, co zapomniałem zrobić przed startem. Wiecie, że natura ma swoje prawa. Widzowie ryknęli śmiechem, a Alek wygramolił się z zasy cały czerwony. Po załatwieniu potrzeby, znowu byłem gotowy do walki – szarpnąłem mocno linę i gwałtownie skoczyłem do przodu. Niestety Alek chyba był na to nieprzygotowany, bo zrobił salto w powietrzu i wpadł w kolejną zaspę. Ludzie znowu ryknęli śmiechem i ktoś wyciągnął Alka z zasy.

Lecz Alek jest fajny i łatwo się nie poddaje, więc szybko się otrząpiał i znów krzyknął: „Go!!!”. Tym razem wszystko szło wspaniale – gnałem pod górę jak ekspres, ciągnąc Alka, i tuż przed szczytem zaczęliśmy wyprzedzać pierwszych rywali. Byłem w euforii – kochałem to, co robię, i chciałem to robić jak najlepiej. Słyszałem z tyłu okrzyki Alka, ale nie trzeba było mnie dopingować, po prostu nie było dla mnie przeszkód... no może jak wyprzedzaliśmy tego czarno-białego malamuta, co rano tak krzywo się na mnie patrzył, to niepotrzebnie straciłem trochę czasu na rozmowę z nim. Po tej rozmowie bolała mnie tylna łapa i już mi się biegło odrobinę gorzej. Ale wciąż gnaliśmy do przodu...

Kilometr dalej, kiedy wyprzedzaliśmy pewną piękną malamutkę – zrobiliśmy sobie przerwę, pomimo okrzyków protestu Alka i tej pani, co biegła z malamutką. Była fajna zabawa – do momentu, gdy przybiegł czarno-biały. Chciał się włączyć do zabawy, ale nikt go nie chciał,

więc wynikło lekkie nieporozumienie i wszyscy się mocno splątaliśmy, a czarno-biały zrezygnował z dalszego biegu i zwieźli go z góry na saniach.

Alek jakoś nas rozplątał i ruszyliśmy dalej. Prawie mówiąc, nie byłem przyzwyczajony do tak długiej trasy... coraz mocniej bolała mnie tylna łapa i poszarpane ucho, ale starałem się nie zwracać uwagi na te drobne niedogodności. Jak są zawody, to daję z siebie wszystko! Zbliżaliśmy się do mety – już z daleka widziałem szpaler wiwatujących ludzi. Gnałem resztkami sił, a ludzie krzyczeli: „Go! Go! Go!”. Byliśmy już blisko, gdy przypomniało mi się, że przecież jestem grzecznym psem i trzeba podziękować ludziom za tak miłe przyjęcie i doping. Zwolniłem więc, wypiąłem pierś do przodu i zamiast na metę, podbiegłem do kibicujących fanów, wietając się przyjacielsko z każdym z osobna. Ludzie śmiały się, przepychali do mnie, każdy chciał mnie koniecznie pogłaskać. Czułem się jak prawdziwy gwiazdor. Tymczasem Alek znowu się zrobił cały czerwony (od czego on ma?) i zaciągnął mnie szybko na metę.

Uff...! Jak doszedłem już do siebie – pierwsze, co usłyszałem, to głos Henryka, klóścącego się z właścicielem czarno-białego.

– Mój jest spokojny i greczny! – krzyczał głośno Henryk.

– To morderca! – ryknął pan od czarno-białego.

– Co? Niech pan zobaczy ucho mojego psa. Pański pies o mało nie zagryzł mojego, to bandyta, nie malamut – odciął się Henryk.

– Mój nie może chodzić!!!

– Bo się zmęczył bieganiem. Jutro mu przejdzie.

I tak minął ten niesamowity dzień. Mimo bolące łapy, byłem szczęśliwy. Ogarniała mnie błoga sennaś i już prawie zasypiałem, gdy przyszła Julia i powiedziała:

– Dziełny jesteś, Winterku. Przynajmniej nie byłeś ostatni.

Zacząłem się zastanawiać, co to znaczy, ale... już po chwili chrapałem w najlepsze.

Rudy

Pewnego dnia Hanka przyprowadziła do domu coś dziwnego. To był rudy, pokraczny stwór, niepodobny do niczego... no może trochę do wiewiórki. Henryk też miał wątpliwości.

– Co to jest? – zapytał Hankę podejrzliwie.

– Jaki fajny piesek! – zapiszczała Julia. – Zobaczcie, jakie ma śmieszne białe kropki na łapkach!

Ja dziękuję, to ma być pies?!! Rozdziawiłem pysk ze zdumienia. Ten... pies stał w moim przedpokoju i trzął się jak galareta.

– Mam pomysł! – krzyknęła Julia. – Nazwijmy go Rudy!

Henryk popatrzył na Julię, jakby miała wysoką gorączkę i bredziła.

– Błąkał się po ulicy – powiedziała Hanka. – I poszła za mną... więc nie miałam serca...

– Nie, moja droga – stanowczo powiedział Henryk. – Chyba nie masz zamiaru robić z domu przytułku? Czy wiesz, ile bezdomnych psów błąka się po świecie?

– Miliony – powiedziała Julia.

– Właśnie – kontynuował Henryk. – Więc zawieź go do schroniska, gdzie zajmą się nim profesjonaliści...

– Może sami poszukajmy mu domu? – przerwał szybko Hanka i poszła do kuchni.

Tymczasem rudy stwór bał się poruszyć. Podeszedł do niego i dokładnie obwąchałem. Udawał, że mnie nie widzi, i nie dawał znaku życia, więc machnąłem ogonem, dając mu do zrozumienia, że z mojej strony nic mu nie grozi. Wtedy trochę się ośmielił i zrobił kroczyk w kierunku kuchni. Potem drugi. Gdy zobaczył, że nie reaguję – dał susa i znalazł się pod kuchennym stołem, skąd obserwował mnie kątem oka. Obszedłem kuchnię, tak porządku, i sprawdziłem, czy przypadkiem nic nie popadło się w mojej misce, ale była pusta. Natomiast w drugiej misce było jeszcze sporo wody, więc całą wypiliśmy. Potem Hanka postawiła przed Rudym miseczkę z wodą, ale tę wodę też wypiliśmy. Opiłem się tak, że nie pękłem, ale w końcu nie mogłem pozwolić, żeby ten cały Rudy za bardzo się szarogęsił. Rudemu całkiem oklapły uszka i zrobił przy tym tragiczną minę.

– Nieładnie, Winterku, nie możesz być taki samolubny – powiedziała Hanka i wyprowadziła mnie do przedpokoju, zamykając drzwi do kuchni. – No masz, bieda... ku... – przemawiała do pokraki – no, nie bój się...

Sprytny ten Rudy, numer z oklapniętymi uszkami naprawdę zrobił na mnie wrażenie. Potem poszliśmy na spacer z Hanką i Henrykiem – Hanka prowadziła Rudego na pasku. Chyba nigdy nie chodził na smyczy, bo dreptał w kółko i beznadziejnie się płał. Wyglądało to dość żałośnie. Wstydziłem się za niego i miałem nadzieję, że nie spotkamy znajomej wilczycy. Poszliśmy do parku i udawałem, że go nie znam, natomiast on – szczególnie na widok większego psa – dosłownie się do mnie przyklepał.

Wieczorem Henryk zabrał się za szukanie domu dla Rudego. Obdzwonił rodzinę i znajomych, ale jakoś nikt nie zapalał gwałtowną chęcią wzięcia go do siebie.

– No i co robimy? – spytała Julia.

– Będziemy musieli zawieźć go do schro... – zaczął Henryk, ale nie dokończył, bo Julia zaczęła płakać.

Hanka przyleciała z kuchni i przytuliła Julię.

– Nie płacz, kochanie, takie jest życie...

Julia zapłakała jeszcze żałośniej, do tego wszystkiego przyszedł jeszcze Rudy i zrobił swój numer z uszkami i tragiczną miną. Hanka też zaczęła płakać.

– Serce mi się ściska, jak na niego patrzę... – wyszeptała Hanka.

I w ten sposób Rudy został członkiem naszego stada. A następnego dnia z mojej miski w tajemniczy sposób zniknął kawałek boczku.

Rudy szybko się zaaklimatyzował – na każdym spacerze biegł z przodu (po wielu nieudanych próbach Henryk zrezygnował ze smyczy i Rudy biegł luzem) i zaczął wszystkie psy. Był taki ważny, że całe psie towarzystwo omijało nas szerokim łukiem. A jak któryś pies nie

chciał docenić ważności naszego stada – to rudzielec rzucał się na niego i uczył go dobrych manier. Rudy niestety nie bardzo wiedział, że samo atakowanie przeciwnika trzy- czy czterokrotnie większego nie jest gwarancją sukcesu. Trzeba jeszcze mieć siłę, kły i spryt. Na ogół kończyło się to tak, że Rudy zmykał przed jakimś pitbullem czy innym mastiffem na tyły – mnie zostawiając przełamywanie lodów i trud perswazji.

Pewnego dnia wybraliśmy się do parku, gdzie jak zwykle pan rzucił amstaffowi piłeczkę. To się nie spodobało Rudemu i najpierw chciał zabrać piłeczkę, a potem zrobić coś, co zwykle. Amstaff kompletnie zgłupiał na widok piosenki, która rzuca się na niego ze swoimi małutkimi kłami, ale szybko doszedł do siebie i zaczął gonić Rudę. W tym momencie wyszliśmy z Henrykiem zza krzewów i... wpadli na nas Rudy z amstaffem. W zasadzie jestem towarzyski i nie przepuszczam okazji do rozmowy, więc zamieniłem z amstaffem parę zdań. Chociaż amstaff nie chciał mnie dopuścić do głosu, przekonałem go, że Rudy jest członkiem mojego stada i należy traktować go jak

szczeniaki

